

N0100_kr_FIANL_1

Aniela Łupaczewska: Urodziłam się 5 lutego, bo to jest moje prawdziwe.... 1938 roku, w Godaczach. To był powiat Pułtusk. Moja mama miała na imię Genowefa, ojciec Franciszek. Miałam rodzeństwo, siostrę, dwóch braci młodszych, którzy się urodzili po wojnie, ale już nikt nie pozostał z rodziny, nikogo nie ma. Kiedy miałam rok, moi rodzice postanowili przenieść się w środowisko miejskie, ze wsi, i do Legionowa się przeprowadzili. W 1939 roku oni oboje mieli po 30 lat, a ja miałam więcej niż półtora roku. Kiedy wybuchła wojna, mój ojciec był wzięty do wojska i w wojsku, razem z wojskiem bronił Warszawy. W czasie tej obrony dostał się do niewoli i z tej niewoli wrócił dopiero w 1945 roku z Niemiec. Całą okupację przeżyłam z moją mamą i z moją siostrą. Nasz budynek, w którym mieszkaliśmy zaraz na początku wojny został zniszczony, bomba uderzyła i zmuszona moja mama była szukać jakiegoś lokum. Znalazła u znajomych ludzi, którzy mieli swój dom, a jednocześnie mieli na posesji taką drewnutnię. I w tej drewnutni moja mama wynajęła pomieszczenie, i w tej drewnutni przez całą okupację mieszkaliśmy. Nie było wygod, nie było wody, pompa na dworze. Mama moja nie miała żadnego zawodu, więc musiała robić wszystko, żeby utrzymać dwie córki przy życiu, dopóty, dopóki wojna się nie skończy. Rodzice mojego ojca mieszkali za Narwią i to już była tamta strefa, nazywała się tak zwana III Rzesza. Żeby dostać się od nas z Generalnej Guberni do Trzeciej Rzeszy, to trzeba było mieć możliwości, a takich nie mieliśmy. Na mostach wszędzie były tak zwane, my, Polacy, nazywaliśmy to wachy, ale to były warty niemieckie, które nie przepuszczały, a jeżeli kogoś przepuścili w którąś tam stronę, kto szedł, to trzeba się było poddać absolutnej rewizji. Absolutnej, do nagusa. Więc moja mama, żebym... A jeszcze oprócz tego miała na utrzymaniu swoją bardzo chorą matkę. W związku z tym w roku chyba 1941, moja mama postanowiła, że mimo wszystko musi coś zrobić z tą małą swoją córeczką, czyli ze mną, bo nie da rady, nie utrzyma nas, nie potrafi sobie poradzić z tym brzemieniem, które ją tak zaskoczyło nagle, więc mnie w jakiś sposób udało jej się zaprowadzić do tych moich dziadków, do tej III Rzeszy i ja tam byłam półtora roku. Miałam wtedy cztery lata. A w międzyczasie tutaj została moja siostra, moja babcia ze strony mamy, ona zmarła i wtedy, kiedy babcia zmarła i moja mama mogła w jakiś sposób już obejrzeć się za jakąkolwiek pracą, która by dała jej i utrzymanie dla siebie, i dla nas, postanowiła mnie odebrać stamtąd, ale póki co, tam przeżyłam całą zimę i całe lato. Byłam jedna jedyna wśród dorosłych. Wszyscy byli dorośli, tylko ja byłam małym dzieckiem, ale z wielką jakąś taką estymą wspominam ten czas, bo ze wszystkimi ciociami moimi, stryjkami, wujkami, byłam ja taka maleńka, oni wszyscy dorośli, ale to była... Do tej pory byliśmy, dopóki żyli, to byliśmy właśnie nad... Potem, kiedy mnie moja mama zabrała do Legionowa z powrotem, to był taki epizod na moście w Modlinie, trzeba było przejść właśnie obok tej warty niemieckiej. To było lato, chyba czerwiec, bo kwitły, pamiętam, maki i kwitły chabry. A to pod koniec czerwca zawsze kwitną te

kwiaty w zbożu. Dostałyśmy od babci, od dziadków w ogóle dostałyśmy jakieś dary w postaci marek, bo oni tam w... My w Generalnej Guberni mogliśmy operować polskimi złotówkami. Natomiast tam już liczyły się tylko marki lub towar zamienny. Więc moja mama w międzyczasie też nauczyła się takiego zawodu, nazywało się to wtedy być szmuglerem, czyli handlarzem przenoszącym. I cóż, ona przenosiła na tę III Rzeszę, tam do moich dziadków? Igły, nici, zatrzaski, guziki, ołówki, zeszyty, co się tylko dało przenieść, ale to nie było takie przenoszenie stąd dotąd. To była wielka wyprawa, która mogła się skończyć i dwa razy dla mojej mamy kończyła się dwutygodniowym zatrzymaniem przez Niemców, a my wtedy... Ja już teraz przeskoczyłam troszeczkę. A my wtedy już z siostrą byłyśmy obydwie. Ona była cztery lata ode mnie starsza, a ja byłam młodsza. Musiałyśmy myśleć, żeby nie zginąć, żeby nam się nic nie stało. Ale wracam właśnie do tej, że na tym moście modlińskim wracamy. Pamiętam, ja przeniosłam, mojej mamie się nie udało. Moja siostra też przeniosła, ale ja przeniosłam, pieniądze miałam takie zawinięte i upleciony kawałek wianuszka z tych kwiatków polnych, właśnie z tego maku i z tych chabrow, i w tym wianuszku oni nie szukali. Myśmy się musiały zatrzymać, rozebrano nas do naga, przetrząsnęto wszystkie nasze fatałaszki, w jakie byłyśmy ubrane. Mojej mamie zabrano i to, co miałyśmy tam w jakichś tobołkach, jakieś tam jedzenie na drogę czy może nawet na to, żeby tam na przyście do Legionowa było co do garnka włożyć, mojej mamie się nie udało. Ja w tym wianuszku przeniosłam, miałam jeszcze w takim kolorowym kapelusiku zaszyte, to kapelusik został rozerwany. Marki znalezione. To dobrze, że nie zostałyśmy pobite wtedy, ale przeszłyśmy. Moja siostra przeniosła w nieco innym, bardzo intymnym miejscu. W związku z tym też miałyśmy już tam w Legionowie jakiś start na początek. I tam już, kiedy już zamieszkałam z powrotem z moją mamą i siostrą, to już było takie ciężkie, wojenne bytowanie z dnia na dzień. Były bomby, bo jak bombardowano Warszawę, to Legionowo cierpiało również, bo to jest tylko 18 kilometrów, więc miałyśmy różne przygody w związku z tą wojną. Ciekawa przygoda polegała na tym, że do mojej mamy na początku wojny przyszła pani Żydówka. Pamiętam tylko nazwisko, Danielowa. I musiała znać moją mamę z czasów, kiedy jeszcze wojny nie było i poprosiła moją mamę. Mówi: "Pani Gieniu, jak pani mi pomoże przetrwać wojnę, to ja się pani bardzo odwdzięczę". Moja mama jej pomogła przetrwać, ale nie całą wojnę. Trzymałyśmy ją w tej drewni, w tym małym pokoju za dużą szafą. Szafa była specjalnie na róg ustawiona, żeby ona mogła tam z tyłu mieć jakiś taborecik, jakieś krzeselko, na którym cichutko siedziała, a nasze zadanie, moje i siostry, polegało na tym, że ciągle musiałyśmy czuwać. Musiałyśmy patrzeć, czy nikt nie idzie od furtki do domu, czy nikt nas nie podgląda, tylko mogła wychodzić późną nocą. Wszystkie potrzeby fizjologiczne, to oczywiście za tą szafą, ale myśmy musiały te czynności spełniać. Ale kiedy nadeszło już właściwie Powstanie i zanim to jeszcze wybuchło, to już była jakaś taka nerwowa atmosfera właśnie w tym Legionowie, że coś się będzie działo i moja mama ją bardzo

prosiła. Mówi: „Pani Danielowa, proszę, już niech pani sobie idzie. Ja pani nie zdradzę. Nic się złego nie wydarzy z mojej strony, ale niech pani nam pozwoli zostać, bo jak będzie rewizja, to nie tylko pani, ale my wszystkie”. Więc ona się pewnego takiego bardzo późnego popołudnia przez ogród, takie duże krzewy agrestu były. Ona tam w tym agrestie przesiedziała. Co się z nią później stało, nic nie wiemy. Wiem tylko tyle o niej, że w tym czasie jeden z jej synów mieszkał w Kanadzie, a drugi brał udział w Powstaniu w getcie, bo to byli Żydzi, więc on brał... Prawdopodobnie chyba zginął, bo nikt się do nas nigdy nie zwrócił o nią. Zresztą nikt nie wiedział, że myśmy ją trzymali. To druga sprawa. Ale w ogóle nie mieliśmy znikąd odzewu. Kiedy wojna się skończyła, myśmy się wyprowadzili do Olsztyna, ponieważ po wojnie moja rodzina, mego ojca zwłaszcza, jakoś tak ściągnęli wszyscy do tego Olsztyna i mój ojciec jak wrócił z niewoli, to też chciał odzyskać jakiś kontakt z rodziną i dowiedział się, że wszyscy są w Olsztynie. I rodzina namówiła nas, nie będziecie tam gdzieś bez nas w rodzinie i bezpieczniej, i lepiej, i będziemy sobie wszyscy potrzebni. I przeprowadziliśmy się. Kiedy już odjechalismy z tego Legionowa, koleżanka mojej mamy знаła całą historię z tą panią Danielową. Przypisała sobie całą tę historię i właściwie dowiedzieliśmy się z dziennika, z „Gazety Olsztyńskiej”, to chyba był 1947 rok, że pani owa nazywała się Tokarska. Że pani Tokarska otrzymała Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata, o, tak. Tę nagrodę. Nie żyje już dzisiaj, zresztą bardzo wcześnie zmarła ta pani i myśmy wtedy już były takie dorastające panienki, mówiliśmy: "Mamuś, nie możemy sobie na to pozwolić. Musimy jakoś zareagować". Mama mówi: "Co nam to da? Ona już tę nagrodę dostała. O co będziemy walczyć teraz? Ona to zgarnęła i niech jej tam będzie dobrze". Wracam z powrotem do tej codzienności legionowskiej, było bardzo głodno, chłodno. Zimą chodziliśmy do lasu po kolki, po igliwie z workami i paliłyśmy, miałyśmy taką suczkę, tak to się nazywało. Suka albo koza. U nas była suka. I w tej suczce to co, to na jeden wieczór tych kolek nam starczyło. Trzeba było na drugi raz. Z czego się jeszcze utrzymywała moja mama i nas? Chodziliśmy w okresie letnim na grzyby, na jagody. Moja mama czasem komuś coś sprzątnęła, czasem komuś zrobiła pranie, bo ojciec mój nie miał absolutnie możliwości, żeby nam cokolwiek pomóc. Raz widziałam mojego ojca, przyjechał, ponieważ był na robotach jako robotnik u bauera niemieckiego i znał się na koniach bardzo. Bardzo lubił konie. I ten bauer, ponieważ oni byli bardzo bogaci, mieli dużo koni i mój ojciec w jakiś sposób przypadł im do gustu, ponieważ umiał dbać o te konie, umiał je prowadzić i oni jakoś w jakiś sposób załatwili mojemu ojcu przepustkę i opłacili to, bo w III Rzeszy się poruszał, więc mógł do swoich rodziców przyjechać. Raz go jeden widziałam. Byłam ogromnie szczęśliwa, a po raz drugi dopiero w 1945 roku w drugi dzień świąt Wielkiej Nocy. Co jeszcze? Wyzwolenie... Aha, jest moment, kiedy już wybucha Powstanie Warszawskie i to się wszystko rozlewa też na okolice. Wszystkie siły wojskowe, a były duże koszary w Legionowie, dużo wojska było w Legionowie, tego niemieckiego, wszystkie siły zostały rzucone

na odcinek warszawski, właściwie takie bezkrólewie zapanowało i co bardziej zapobiegliwi mieszkańcy Legionowa rzucili się rabować w koszarach niemieckich, co się dało. Więc mojej mamie się udało przywieźć taką torbę. Nie wiedziała, co to jest, ale ją przywiozła. Tam były same okulary dla tych, którzy jeździli na rowerze lub na motocyklach. To przyniosła, przyniosła kilka puszek konserw, to nam później Niemcy z komina wyciągali, bo była rewizja, a rewizje były nieustanne. Bardzo częste rewizje były w tym domu. I jeszcze przywiozła parę puszek, takich niewielkich, margaryny. Wtedy pierwszy raz poznałam smak margaryny. Obrzydliwa była. Obrzydliwa, bo taka pełna, nie wiem, w każdym razie nie była smaczna. Jeszcze do dzisiaj ją pamiętam. I właśnie wtedy, kiedy oni obrabowali trochę te koszary, parę dni spokoju i rozeszła się wiadomość, że będą nas wypędzać i wypędzili. Moja mama już wiedziała, że to się będzie działo. W związku z tym miała już przygotowane takie tobołki, bo oni wpadali raz, pięć minut i znowu, więc już tej Danielowej nie było. Myśmy były same. Ja miałam przygotowany tobołek, moja siostra i moja mama. Jako mama, więc największy, moja siostra starsza ode mnie, więc troszkę więcej, a ja niosłam, jak dziś pamiętam, zwinięty koc na plecach i czajnik. I jakoś dziwnym trafem zebrała się taka 14-osobowa grupa, był w tej grupie mężczyzna, który miał swoją żonę i młodszą jeszcze ode mnie dziewczynkę w tym pochodzie. Tak że w 14 osób zostaliśmy w jakiś sposób, bo Niemcy nie ingerowali w którą stronę w Legionowie. Cała ta 14-osobowa grupa wybrała kierunek na Krubin, Olszewnicę i tamtędy. Oczywiście moja mama miała na celu, żeby się w jakiś sposób gdzieś tam udać do tych dziadków, dostać się do tej III Rzeszy, ale póki co, to długo byliśmy w tej grupie, bo po drodze, kiedy szliśmy do tego właśnie Krubina, już taki zmrok zapadał i wyleciał taki Niemiec, i krzyczy: "Halt! Halt!" Myśmy wszyscy stanęli, doleciał do nas i mówi, że tu są miny, że nie możemy, bo wszyscy wylecimy w powietrze, że on nas przeprowadzi. Bardzo ludzki człowiek. Przeprowadził nas. To był kierowca, który dowoził na front benzynę. I on nam obiecał, że ktoś, kto będzie chciał iść do Zakroczymia w tym kierunku, to on podwiezie, ale nocą. I tak się też stało, że nas podwiózł do tego Zakroczymia. Tam w tym Zakroczymiu moja mama i my dwie byłyśmy dwa tygodnie. I on nam powiedział, ten Niemiec, że jak teraz pojedzie i zawiezie benzynę, i będzie wracał, to nas zabierze, i podwiezie nas w kierunku do tych moich dziadków. Ale nie podwiózł, bo zginął. Jakiś pocisk trafił w jego samochód, a skąd wiemy? Bo on zawsze jeździł z takim psem i wrócił z tego sam pies, taki tam chory, ale nie do nas, tylko do Niemców, a on nam w międzyczasie, ten właśnie Niemiec załatwił takie u Niemców, że jak my pójdziemy, te małe dzieci, to oni nam dadzą jedzenie. I oni nam dawali, rzeczywiście. Chodziłam dwa tygodnie, bo moja siostra za nic nie poszła. A że ja byłam mała i mnie było wszystko jedno, byłam taki troszkę ryzykant, więc chodziłam i dzięki temu moja siostra też miała co jeść. I właśnie ci Niemcy nam powiedzieli, że już nie czekajcie i myśmy wtedy okrężnymi drogami, polami, jak się dało, nocowałyśmy w kurniku, bo Niemcy jeszcze byli

bardzo mocni, jeszcze nie spuszczały z tonu, więc jeszcze były wielkie perypetie, ale po czasie dostaliśmy się tam do tego... To jest wieś, która się nazywa Pianowo. Bardzo blisko Pułtusk, bo wiem, że chodzili na zakupy pieszo do Pułtusk w czasie wojny i Nasielska, więc niewielka wieś taka osada. Bardzo piękny pałac, stoi do dzisiaj, bo byłam tam po latach zobaczyć to miejsce, więc stoi ten pałac do dzisiaj. I tam przeżyłam dopiero to, tak zwane wyzwolenie. Dwa razy zdobywali Rosjanie naszą wieś. Za drugim razem dopiero się udało. Stracha mieliśmy wielkiego ponieważ baliśmy się, że jak Niemcy drugi raz odzyskają wieś, to nas wszystkich wystrzelają, ale nic takiego się nie stało. Jedynie, zanim się jeszcze ta noc odbyła, kiedy nas właśnie wyzwalało, to w międzyczasie płynęła fala uchodźców różnymi drogami i babcia do swojego domu wzięła 14 osób. Jak myślimy wszyscy spali? My, rodzina, to na łózkach, ale babcia rozłożyła mnóstwo słomy, tak zwany barłóg i na tym barłogu kto przychodził, uciekał sprzed wojny i na tym barłogu sypialiśmy. Jednego razu właśnie jak już zdobywali po raz drugi tę wieś, to wałnęła taki wielki niewybuch, akurat tak w róg tej chałupy i on się nie rozerwał w środku, a było tylko takie stare małżeństwo, pamiętam nazwisko, nazywali się Pochmarowie. Więc pani Pochmarowa ogłuchła, bo przy niej ten pocisk wałnęła i co jeszcze, czego nie mogłam odżałować, to rozgniół taki, mnie się wtedy to bardzo podobało, taki aparat fotograficzny, co taką harmonijkę. Ubolewałam nad tym i prawie płakałam. To nie był nasz, ale że to zostało zniszczone. Tak że przeżyłam tam, pamiętam, tę noc i te następne dni, które trwały. Zbieranie trupów na polach, na drogach, wszystko popuchnięte. Wieś polska była wtedy biedna. To oczywiście rozdzielali tych truposzy, zwłaszcza niemieckich, zabierali te ubrania. Bo Rosjanie swoich szybko zbierali z pól. I później... To było w styczniu, a na przełomie marca i kwietnia moja mama postanowiła wrócić do Legionowa. Kiedy wróciliśmy, jechaliśmy różnymi środkami lokomocji, wozami, szliśmy pieszo i gdzieś jakiś odcinek pociągiem, gdzie ludzi było pełno na dachach i wszędzie, ale dojechaliśmy do tego Legionowa. Myślałyśmy, że ta drewniana będzie jeszcze jakaś taka, że my będziemy mogły zamieszkać, a tam była cała wielka główna ściana wywalona i na łóżku, które zostało, leżał ogromny niewybuch. Po raz drugi z niewybuchem miałam do czynienia. Ale nic nam złego się nie stało. I tak później dołączyła do nas moja mama siostra z córką i potem już wkrótce, bo drugi dzień świąt Wielkiej Nocy to chyba wtedy też wypadał w kwietniu, któregoś kwietnia, wrócił z niewoli mój ojciec. Wiózł dla nas lalki, jakieś walizki na rowerze, to oczywiście wszystko padło łupem rosyjskiego wojska. Zabrali lalki, zabrali rower, wszystko, tylko nie zauważyli, mój ojciec miał za jesionką tu guzik, i tu taką maleńką paczuszkę miał na sznureczku, miał przyczepioną, to tego mu nie zabrano. W tej paczusce były bućki dla mnie, ale o numer za małe, bo nie wiedział, jaką ja teraz mam nóżkę. I potem, kiedy już tam się pozbieraliśmy, to jesienią właśnie przyjechaliśmy do Olsztyna, to był koniec 1945 roku, a od razu w styczniu poszłam do szkoły numer dwa w Olsztynie. A moja siostra poszła do tej samej szkoły, tylko to był

jeden budynek i w środku był przedzielony takimi wielkimi wrotami, jakby to była jakaś brama wielka. Dwie szkoły były przedzielone. Jeden budynek, ale ta część była, dwójka i ja tu byłam, w trójce była Marysia. Taka niesprawiedliwość w klasie pierwszej spotkała, bo tam w różnym wieku były dzieci, bo przecież były przerośnięte, do szkoły nie chodziły. Ja się szczęśliwie urodziłam, bo akurat wojna się skończyła i był mój czas pójścia do szkoły, tak że nie byłam jakoś tak zaniedbana. Różne były dzieci. Było dużo dzieci niemieckich. Pamiętam dwóch chłopców, którym dawałam swój chleb, bo byli bardzo grzeczni i tak pięknie zawsze ubrani, i stali tak cichutko, zawsze pod ścianą schodzili, żeby nikt im krzywdy nie zrobił. Natomiast był wielki taki chłopak, też Niemiec. Paul miał na imię. I on nas zawsze bił. I nikt na niego nie miał żadnej siły. Jak myśmy się skarżyli naszej pani, to pani powiedziała: "Dzieci, nie wolno mu robić krzywdy. On wojnę przegrał. On ma teraz taki wielki kłopot", a on nas lał, jak tylko możliwe. I ja kiedyś, swego czasu, już nie wytrzymałam, bo ja bym mu rady nie dała, więc złapałam jego czapkę, podeptałam i podarłam. Dostałam taką burę od mojej wychowawczynie, wygnała mnie do domu, po ojca, mój ojciec pracę rzucił, przyleciał i dopiero wytłumaczył jej jak i kto tu jest jakimś bohaterskim dzieckiem, że nie wolno i tak dalej. Ale to było bardzo przykre. Tak mi było bardzo przykro, bo myślę sobie, już po wojnie, to jest przecież my, my tu jesteśmy teraz ważni, a tu nas taki Paul bije i pani jeszcze trzyma z nim. Mam jej właśnie to świadectwo klasy pierwszej, pani Niewiadomska się nazywała. Mam jej to świadectwo z podpisem. I potem w 1948 roku przeprowadziliśmy się do Ławy, że tu jest spokojniej. Moja mama zajęła się domem, tu się jeszcze po wojnie urodziło właśnie dwóch moich braci, jeden w Ławie, już nie żyje, drugi w Olsztynie, też już nie. Moja siostra z tamtych czasów też nie żyje. Tutaj skończyłam klasę siódmą. W 1952 roku zdawałam egzamin do Ostródy, do liceum pedagogicznego i zostałam przyjęta, i musiałam sobie też sama radzić. Moi rodzice... Ojciec często chodził na wywiadowki. Moja mama nigdy na to nie miała czasu. Zawsze zajęta, to kawałeczek ogródeczka, to świniaczka, tutaj w Ławie wtedy trzeba było robić wszystko, żeby móc się utrzymać. Biednie było i udało mi się. Skończyłam liceum pedagogiczne i dostałam przydział pracy do Platyn. To taka mała wieś za Ostródą, między Ostródą chyba, a Lidzbarkiem. Nie Lidzbarkiem, tylko Olsztynkiem. Ale kierownik szkoły, gdzie ja tu kończyłam klasę siódmą, dowiedział się, że już jestem nauczycielką i on by chciał mieć siłę fachową, bo do tej pory to różnie ludzie tam... I zrobił taką awanturę w czasie wakacji, odnalazł mnie, przyszedł do mojego domu, do moich rodziców, jak państwo pozwolą i tak dalej, ale co tam państwo, jak ja miałam przydział pracy, to musiałam. Wszystko załatwił. Wszyściutko i zabrał mnie stamtąd, i na te Platyny nie trafiłam, tylko rozpoczęłam pracę w Ławie. U niego w szkole. Też ten pan już nie żyje. Franciszek Żak. Ale że szkoła była bardzo przeludniona, nastąpiła taka rotacja tu w Ławie, to liceum, które jest po drugiej stronie jeziora, to na Sienkiewicza, zostało oddane do użytku, liceum, które było w szkole numer dwa, przeszło właśnie

tam, i nasza szkoła numer jeden w Łławie podzieliła się, bo była bardzo przeludniona. Odbływały się nawet lekcje wieczorowe dla starszej młodzieży i ja się zapisałam właśnie do Dwójki. Bo pan kierownik wtedy, ponieważ ja kończyłam liceum pedagogiczne typu harcerskiego, więc on uważał, że jako drużynowa, opiekun harcerstwa to ja za wiele pracy nie mam, to ja będę mu w kancelarii pomagala, a ja się na to nie godziłam. Powiedziałam, że ja jestem nauczycielką, muszę uczyć dzieci i proszę mnie wysłać, po prostu zgodzić się na moje odejście do Dwójki. I tak się stało. Pamiętam marsz, wspaniały. Cała Dwójka, bo już tak zostaliśmy podzieleni, odbył się wspólny apel na boisku, pożegnanie. Wszyscy, każdy, co miał, ławki, stoły, cyrkle, tablice. Szliśmy z tym wszystkim. To daleko, bo to jest aż pod szpital, jeżeli panowie nie znają Łławy. Spory kawałek drogi to jest. Tu z Jedyńki, z głównego miejsca aż tam. Szliśmy, śpiewając, cieszyliśmy się, że będziemy mieli własną szkołę. Tam przepracowałam w tej szkole 20 lat, ale w międzyczasie dostałam się na studia na pedagogikę specjalną do Warszawy, skończyłam ją i zajęłam się... Byłam pierwsza, która zaczęła tu organizować szkolnictwo specjalne. To dzięki mnie założyłam je. Najpierw założyłam taki ośrodek, w którym pracował pedagog, psycholog, lekarz dziecienny i zbieraliśmy z całego powiatu dzieci do tych klas specjalnych. Widzę, że za długo gadam. Tak jest. I w związku z tym tutaj zaczynałam... Dzisiaj to mają cudowną szkołę zrobioną, piękna wybudowana na Lipowym Dworze, a ja zaczynałam z moją klasą upośledzonych umysłowo w takiej izdebce na poziomie ubikacji. Małeńka, siedem ławek tam było i mój taki mały stoliczek. Ale przetrwaliśmy i potem przychodziło do nas coraz więcej dzieci, rozrastały się te klasy specjalne i kiedy stąd odchodziłam, to już był komplet, już było od jeden do siedem. Później przeprowadziliśmy się, bo tu zadarłam... Właściwie zadarłam, ja się cały czas upominałam sprawiedliwości. Mój mąż zakładał tutaj Transbud. A kiedy była reorganizacja w tych powiatowych radach, to na dyrektora wsadzili mu pana, który był przewodniczącym powiatowej rady, który nawet nie umiał odróżnić marki samochodu. Miał być dyrektorem, więc ja się trochę zirytowałam. Napisałam do NIK-u chyba, dostałam wtedy straszną burę tutaj od władz i niczego nie zwojowałam, ale przynajmniej przyjechała komisja, zawołano mnie, też byłam, musiałam być taka mała myszka, bo tu panowie tacy i mówią: "Proszę pani, takich spraw to się nie rusza", a ja mówię: "Ja myślałam, że ja mogę ruszyć, bo jeżeli ja uczę dzieci i uczę sprawiedliwości, uczę jakiegoś poznawania dobra i zła, to ja uważam, że mego męża spotkała wielka krzywda moralna, bo on to zakładał i powinien być dyrektorem". I szybko zostaliśmy jakby na indeksie. To znaczy ja w szkole nie odczułam niczego złego, natomiast mój mąż od razu został przez towarzyszy wezwany na plenum. Plenum było przeciwko, od razu go zwolniono i co teraz? Ponieważ miał kiedyś jeszcze tu ze szkoły zawodowej kolegę, który był na terenie Gdańska wielkim dyrektorem całej, jak to się wtedy nazywali ci dyrektorzy? Nie zakładu, tylko całej takiej puli tych zakładów. I zadzwonił do niego, i on natychmiast przyjeżdża, i będziemy rozmawiać. Pojechaliśmy. To był

marzec. W kwietniu już dostaliśmy klucze do mieszkania. Już był taki władny, że mógł to zrobić. Od razu z mety mój mąż dostał pracę, gdzie został kierownikiem bazy, ale z większą pensją miesięczną niż tu, gdyby był tym dyrektorem. I w ten sposób pożegnaliśmy się z Ławą, wyprowadziliśmy się na Wybrzeże. Tam nasz syn skończył technikum budowy okrętów, później dostał się do szkoły, ale tej szkoły nie lubił, nie chciał, bo dostał się do marynarki wojennej, nie chciał, nie znosił jakichś takich nad sobą ludzi, którzy wydawali rozkazy, był taki wolnym elektronem. Nie lubił tego, w związku z tym po roku się... Trzeba było też użyć sposobów, żeby go stamtąd wybronić, ale udało się. Dzisiaj mieszka tam w Nowej Zelandii. Nigdy tu nie wrócił. A tam też dostałam się do gminnej szkoły Cedry Wielkie. Kiedy dyrektor, kiedy przyszła za mną moja teczka z moimi aktami tutaj nauczycielskimi, to dyrektor wtedy gminny powiada: "Proszę...", on do mnie się zwracał "Pani szanowna", bo ja przyszłam z miasta. Dyrektor mówi: "Takiej teczki jeszcze nikt z naszych nauczycieli nie miał". Przepraszam, że się chwale, ale to była bardzo piękna teczka. Już z takimi ładnymi opiniami, pochwałami. I tam pracowałam, dziesięć lat przepracowałam tam na Wybrzeżu. Zamieszkaliśmy w Pruszczu. Pięć lat dojeżdżałam do Cedrów, później w czasach Solidarności koleżanka opuszczała taką małą szkołkę w Kiezmaku i ja tę szkołkę po niej przejęłam, doprowadziłam ją do bardzo ładnego stanu. Była taką wizytówką całej gminy. Tam przepracowałam pięć lat. W czasie tego dziesięciolecia mojego na Wybrzeżu byłam tak notowana dosyć przyzwoicie. Tak jak mówiłam i napisałam w tych wspomnieniach, dostałam tam złotą odznakę ZNP. Tam dostałam Złoty Krzyż Zasługi, tam dostałam, na sam koniec, Krzyż Kawalerski, na co mam legitymację przy sobie. Dostawałam też w pierwszych latach ekwiwalent za ten krzyż, ale kiedy przyszła pani Suchocka i pan Balcerowicz, i zrobił tę reformę, i nas wszystkich ogromnie ukrzywdzili. Odebrali nam wszystkie dodatki, bo ja miałam i dodatek za trudną pracę, bo tam też założyłam klasy specjalne, ale w Kiezmaku to już była taka szkołka jeden-trzy i ona była pod moją opieką. Tam już dzieci specjalnych nie było, ale w Cedrach Wielkich właśnie te pięć lat prowadziłam klasy specjalne, bo też nie miała ta gmina. Więc to tak, z czego mogłam się pochwalić. Ale nie korzystam już z tego, bo to już nie te czasy. I tam właśnie, stamtąd odchodziłam na emeryturę w 1986 roku. Skorzystałam z tej okazji, że po 30 latach bez względu na wiek była taka możliwość. Odszedł mój mąż z Transbudu i byliśmy takimi młodymi emerytami. Co tu robić teraz? A że wtedy był taki bardzo ciąg, do Niemiec wyjeżdżali, do pracy, a ja miałam koleżankę, która w międzyczasie pracowała, wyjechała do Ameryki i tam pracowała. Ja się dowiedziałam, napisałam do niej, mówię: "Ada, jaka jest możliwość?", a ona mówi: "Dobrze, jak chcesz, to ja ci załatwię". Trzy lata byliśmy z mężem w Stanach. W tamtym czasie dostaliśmy za jednym zamachem, proszę sobie wyobrazić, wzię. Małżeństwo. To był 1989 rok. To jeszcze był tamten ustrój. Wszyscy się dziwili. Nawet w samolocie, jak lecieliśmy, to taki pan z Tarnowa siedział, a popijali mocno, bo tego piwa i wódki tam było w tym samolocie dużo, to on mówi do mojego

męża: "Ale panie, pan taką babkę poderwał". A mój mąż mówi: "Proszę pana, to moja żona". "Proszę pana, żona. Jakie małżeństwo dostanie taką wizę?". A nam się udało. No. Później byliśmy również z mężem, bo nasz syn też, jak to wszystko zostawił i wyjechał z Polski, to dostał się do RPA. Tam był dziesięć lat, więc RPA też zobaczyliśmy z mężem, byliśmy u niego cały tydzień, a on mieszkał w Durbanie, więc do Johannesburga lecieliśmy samolotem, a stamtąd poprosiłam syna, żeby wykupił nam bilety na autobus, na środek taki, który pozwoli widzieć tę Afrykę, jak będziemy jechać, bo samolotem, to coś z powietrza, a jednak autokarem to więcej się zobaczyło. Więc taką podróż, 600 kilometrów jechaliśmy autokarem, żeby tylko zobaczyć Afrykę. I wracaliśmy też z Durbanu autokarem do Johannesburga, a z Johannesburga wracaliśmy już samolotem do Polski. A kiedy już odeszliśmy, byliśmy emerytami, zaliczyliśmy wszystkie podróże, to mówimy, wracamy z powrotem do Ławy, bo tam na Wybrzeżu nie mamy nikogo, a tutaj mamy groby rodziców, znajomi, młodzież, która kiedyś miała z nami kontakty i tak wróciliśmy. Z miastem, zawsze to podkreślam, bo ktoś mówi: "Dlaczego nie lubisz Ławy?". Nie to, że nie lubię, ale nie mam serca do tego miejsca. Ciągnie mnie do Legionowa, do moich... Ja jestem Mazowszanką, ciągnie mnie tam na Mazowsze. A mój mąż był, pochodził tutaj z bardzo bliska, bo za Drwęcą, w czasie okupacji na Drwęcy była granica. Ława była Niemcy, a on mieszkał po drugiej stronie Drwęcy, tak zwane Targowisko, duża wieś. Duża, blisko Lubawy. Więc on stamtąd właśnie pochodził. I on w tym klimacie się doskonale czuł, a ja tu wyszłam za mąż, tu skończyłam podstawówkę, tu zaczęłam być nauczycielką, tu zostawiłam po 20 latach swoją pracę, a mimo wszystko nie kocham Ławy. Na Mazowsze biegłabym boso. A nie mam już do kogo. Nie mam. Tak że to chyba całe moje życie przeleciało. Myśmy byli z dwóch światów. To znaczy z dwóch kierunków Polski. Zupełnie inne doznania mój mąż miał w czasie wojny, zupełnie inne ja. Ja miałam strach, głód, biedę, brak ojca, brak właściwie pewności, że jutro może nas tutaj nie być lub może coś się zdarzyć, natomiast mój mąż miał mamę na miejscu, jego ojca też zabrali w 1939 roku, też pracował jako... Tylko, że on był kolejarem, więc w jakichś zakładach kolejarskich pracował w Niemczech i dziwnym trafem, ponieważ oni tu przy granicy to znali ten niemiecki i mój teść umiał doskonale mówić, czytać i pisać po niemiecku, więc mógł wolno poruszać się od miejsca, gdzie nocował, do miejsca pracy, mając literę P, chodził sam. Bez nadzoru. Kiedy skończył pracę, wartownik powiadamiał, że ten i ten już skończył, idzie do domu, do tego baraku, gdzie tam z tymi więźniami, bo on był więźniem, ale jakimś takim dziwnym trafem dosyć łagodnie traktowanym. I proszę sobie wyobrazić, że kiedy mój teść w 1965 roku odchodził z kolei na emeryturę, to brakowało mu lat wojny. Napisał do tych zakładów. Dostał taką dokładną odpowiedź, jak długo tam pracował, jak zarabiał, bo oni dostawali jakieś tam pieniądze, wszystko, i przyszło tutaj na kolej, to wszyscy się dziwili, że tak skrupulatną dostali odpowiedź. I dzięki temu mój teść miał większą emeryturę, bo te lata zostały

zaliczone. Ale wracam do tej stabilności mego męża. U nich byli Niemcy, bo tam dużo było tych gospodarstw polskich wysiedlonych i bogaci Niemcy się tam osiedlali, ale on takiej grozy, gdzie nie było mamy, nie wiadomo gdzie ta mama, co z nią jest i czy wróci, to on takich nie przeżywał. Ale też miał bardzo piękny taki przykład, takiej ludzkiej, czegoś ludzkiego w niemieckim mundurze. Złamał rękę i kiedy już jego ojciec wrócił, pod koniec wojny, bo ten dziadek, mój teść został zwolniony wcześniej, więc na plecach mój teść zaniósł swojego syna do Lubawy do wojskowego szpitala. I lekarz wojskowy, nie pytając o nic, kazał siostrze przygotować wszystko, złożyli polskiemu dziecku rękę. Więc ja myślę, że w każdym narodzie są ludzie i ludziska. Więc mieliśmy trochę takich różnych przebojów. Trzeba było być. Ja byłam, wracam sama do siebie, byłam takim odważnym dzieckiem, ponieważ nie zdawałam sobie bardzo jeszcze grozy z takiej sytuacji, która mnie otacza. Cierpiałam, że nie ma mamy, buntowałam się przeciwko siostrze, że mnie zabierała z alejki do domu, ale przetrwałyśmy. Przetrwałyśmy całą tę zawieruchę wojenną. Pamiętam jak dziś. Dużo rzeczy. Kiedyś, jak opowiadałam mojemu synowi, kiedy już był takim dużym chłopczykiem, to on mówi: "Mama, to nieprawda. Ty to wszystko w książkach przeczytałaś. Bo jak ty możesz pamiętać to, co miałaś na przykład pięć lat albo sześć? To ja nie pamiętam tego, co się w klasie pierwszej działo". Ale ja mówię: "Witku, tamte dzieci musiały być zupełnie w innej, były w zupełnie innej sytuacji, to jedno, a drugie, myśmy musieli mieć oczy i uszy otwarte. I musiałyśmy sobie wszystkie radzić, jak tylko. A w samym Olsztynie, po wojnie Olsztyn nie bardzo był zniszczony, ale mimo wszystko był. Więc pierwsze zabawy były w gruzach. To, co się spod gruzów wyciągnęło, to tym się bawiliśmy. Po wojnie wszystkie jakieś tam odłamki, wszystkie gilzy, nawet proch, jak po wyzwoleniu proch na polach leżał, to miał różne kształty. A to trąbki takie, a to krążki, to nawlekaliśmy sobie na sznurki a'la korale. Jak mnie moja babcia zobaczyła wtedy tam po tym wyzwoleniu zobaczyła, z tym że ja się nad tą kuchnią pochylam, to mnie tak złapała, przeniosła mnie w inne miejsce, zerwała mi to i patrzy, mówi: "Coś ty, dziecko, zrobiła?". Bo byłabym wysadziła siebie i chałupę, a co, można było. Ciężkie były czasy. Niech się nigdy nie powtórzą. I pamiętam, teraz tak się przyglądam, proszę panów, oceniam tak tę sytuację, która się teraz wytworzyła tu u naszych przyjaciół, sąsiadów na Ukrainie. Oni od razu uciekli. My nie mieliśmy dokąd. A im otworzono nasze przyjazne wrota i wpuszczono ich do nas do kraju. I dobrze, bo tak być powinno, ale nas nikt nie przyjął. Myśmy drżeli przez całą okupację. A nuż nie przeżyjemy. Do babci... Tylko jedynie do babci można było. To jest moja mama. Na kolanach u mamy to jestem ja i ta dziewczynka obok to moja starsza o cztery lata siostra. Tuż przed wybuchem wojny. Wojna wybuchła 1 września, a to jest chyba lipiec. Tak mi opowiadała moja mama. Tutaj mam, już kiedy kończę siódmą klasę, to jest moja siódma klasa, tutaj w Łławie. Z wychowawcą. Wychowawca nazywał się pan Laskowski. I właściwie... I chcę teraz tylko jeszcze pokazać, w tamtych czasach takie świadectwo, klasa pierwsza. To jest rok 1945-1946. To

jest właśnie klasa, gdzie ten Paul taki był, obrzydliwy chłopak. I takie jeszcze to drugie. To też z tej samej szkoły. Już nie będę, bo to tylko tyle z tego dzieciństwa przyniosłam, żeby nie zanudzać. Później tak musiałyśmy wyglądać w liceum pedagogicznym. Taka czapka, bez czapki było niemożliwe, żeby nie chodzić.

Szymon Nowak: Świetne zdjęcie.

Aniela Łupaczewska: Tutaj budujemy internat. Sami osobiście budowaliśmy internat. W Ostródzie na ulicy Kopernika. Tak wyglądałyśmy na lekcjach, ponieważ to była klasa typu harcerskiego, a wtedy harcerze nosili albo czerwone krawaty, albo nosili czerwone chusty. Tu jest moja klasa maturalna z tego liceum, a tu są trzy klasy, które wtedy maturę zdawały i tu na samym początku jest grono pedagogiczne. Tak. To dzieciństwo. I tutaj pochwalę się pracą nauczycielki, to z moją klasą już w tej szkole numer dwa. To też z klasą. Może nie wszystkie będę tu dawać, bo to bez sensu. Tutaj konferencja sierpniowa, zawsze zaczynał się rok szkolny konferencją sierpniową i tutaj jest powiatowa konferencja nauczycieli. Tu sobie napisałam mój ostatni czynny dzień nauczyciela. Nagroda kuratora. Cedry Wielkie i tak dalej. Bo odchodziłam na emeryturę, to jeszcze dzień nauczyciela obchodziłam. A tu już jako stara pani. Właśnie ta prekursorka szkolnictwa specjalnego dostałam zaproszenie na taką galę, gdzie wręczono mi taką statuetkę. Dzisiaj mają nową szkołę. Ma być uroczyste otwarcie, ale dopiero podobno w wakacje.